



Łotewska opera narodowa w Rydze

SOMO

I.

Bonaparte rozkazywał Europie. Bonaparte rozdawał korony. On stanowił granice państwa, on burzył, budował.

Przyczyną najścia na Hiszpanię były rozterki w panującej tam rodzinie Burbonów. Napoleon wezwał królewskich współzawodników na sądy do Bajonny.

Wyrok był szybki. Na tronie Filipa II osiadł Józef Bonaparte.

Lecz w narodzie hiszpańskim obudziła się dusza. Kto się ważył sięgać samowolnie po koronę?

Rotowy ogień karabinów i pomruk armat był odpowiedzią. Gdy Józef Bonaparte wjeżdżał do Madrytu, już cały półwysep tonął w walce na śmierć i życie i Francuzi ponieśli klęskę pod Baylen.

Król Józef strwożony, niepewny jutra, słał błagalne wezwania do brata cesarza.

Napoleon zatrząsł się ze zgrozy na wieść o pogromie pod Baylen i w jednej chwili rzucił się jak wichur ku granicom Hiszpanii z najdzielniejszymi korpusami i po klęskę, zadanej Hiszpanom pod Tudelą, ciągnął już wprost do Madrytu. Przed Madrytem jednak niby sierp potężny, rzucony z zachodu na północ - wschód, zataczały półkole łańcuchy Guadarramy, osłaniając Nową Kastylie murem skał nieprzebytych, wałami górskich grzebień i ostro wznoszącymi się szczytami Somo-Sierry. I na szczytach tych obozował waleczny wódz hiszpański, Don Benito San Juan, pewny dzielności swego korpusu i ufny w niezachwianą moc pozycyi.

Somo-Sierra — to dumne, harde szczyty. Pośród nich wązki przestwór drogi tonie w mrokach dwóch ścian skalistych i po czterech wozach zalamuje się, zanim zrąbek przeciwnielego stoku odsloni. Somo-Sierra — to brama Guadarramy i Nowej Kastylii, brama choć na ścieżaj otwarta, lecz niegościnna, lek budząca. Te złomy granitów nad wężozem mówią: „chodź, niech cię zmiądzdzą”.

Don Benito San Juan znał Guadarramę. Łańcuchy górskie obsadził lasem karabinów, a w wąwozie cztery ustawił baterie. Armaty rozkraczały się na całej szerokości gardzieli, wyciągnęły błyszczące naszece i czekały...

Napoleon nadszedł pod Somo-Sierre i mimo uwag marszałków, doradzających obejście gór, postanowił się przedrzeć przez wąwóz.

II.

Zanim światło leniwie szarzącego poranku zdołało przedrzeć poprzez listop-

dowe mgły, armia podniosła się na nogi. Żołnierz ostatecznie czynił przygotowania, stara gwardya wdziała mundury i krzątała się gorączkowo.

Aż naraz zabrzmiała komenda, warknęły bębny, trąbki zagrały krótko, chrapliwie. Padły pierwsze strzały tyralierów.

Góry milczały, polyskując dumnie swym skalistym pancerzem i tonąc w mgłach.

Za czwartą salwą francuską Guadarrama plunęła żelazem. Don Benito czuwał.

Armaty grały coraz szybciej, coraz zadadlej. Piechota hiszpańska raziła ołowiem.

Pułki francuskie szły naprzód ponure i milczące, rozumiejąc, że na zgubę pewną idą, że zanim zdołają do skał dotrzeć, armaty nieprzyjacielskie zmiądzdzą ich i zdziesiątkują.

Marszałek Victor wiódł pułk dziewięty, general Semele dwudziesty czwarty. Wodzowie pierwsi wdarli się na najbliższe skały, usiłując pociągnąć za sobą żołnierzy. Atoli góry bluźnęły jeszcze gwałtowniejszym potokiem kul.

Żołnierze francuscy zmieszali się, rozprysnęli w bezładne kłęby i cofnęli w meladzie.

Victor nowy pułk zagrzewa. Posuwają się żołnierze, lecz znów grad stalowy stoczył się ku dywizyi, pierwsze szeregi zmiotł, drugie potargał, trzecie zmieszał.

Bonaparte siedział zadumany pod drzewem, jak gdyby wsłuchując się w huk armat. Od czasu do czasu podnosił wzrok i mierzył badawczo przełęczący się przed nim ordynansów i adjutantów, którzy urzywanymi zdaniem raportowali przebieg bitwy.

Raporty brzmiały jednakowo:

— Pułk zdziesiątkowany! Dostępu niema! Ogień zabójczy!

A potem:

— Trzecie działo zdemontowane!

Wtedy Napoleon wskoczył na siodło i pocwałował ku górcom, a za nim Bessières, Montbrun, Duroc i kilku adjutantów.

Cesarz zbadał przyczynę. Rozproszone nieco mgły odstaniały ciemną gardziel Somo-Sierry.

— Ponowić atak! — zabrzmiał rozkaz.

SIERRA

Świeży pułk porwał się z miejsca i szedł bardzo z okrzykiem: Vive l'empereur*).

Bonaparte ścigał ich wzrokiem, widział, jak stały się masy ciał, nie dochodząc nawet do rzeczki, płynącej u stóp wąwozu.

— Bessiéres, gdzie szwadron służbowy?

— Na prawo pod górą.

Napoleon spojrział w stronę, kiedy bieleł się pas siwych płaszczów szwoleżerów, którymi dowodził Koziętulski.

— Dobrze stoja.

— Prawda, sir?**)

Napoleon zwrócił lunetę ku rzeczce i widział, jak orzeł cesarski chwiał się ponad cofającymi się szczątkami pułku.

— Dosyć! Bessiéres! Szarża natychmiast!... szwadron polskich szwoleżerów.

— Najjaśniejszy panie, niemożliwe!

— Powiedz im, ja chcę!

Bessiéres pochylił się na siodle, spadł na szwadron, rzucił Koziętulskiemu rozkaz.

III.

— Do miliona dyabłów! — rozległ się stalowy głos Koziętulskiego, — cesarz chce, abyśmy tych szczurów wymietli! Naprzód! Szwadron drgnął.

Na młodzieńczych twarzach zakwitły rumieńce. Z pod czap jasne oczy błysnęły skrami.

— Niech żyje cesarz! — huknęli żołnierze, pochylili się na siodłach i runęli, jak wezbrany potok, ku ziejącej ogniem gardzieli.

Hiszpanie zaprzysięgli ledz w wąwozie. Szwoleżerzy nieśli śmierci w ofierze lata młodzieńcze, lzy gorzkie ojców, żale matek i swe nadzieje, i sny, byle zgonem okupić zmatwychwstanie.

Szwadron przesadził rzeczkę, w polowie zasypaną ciałami poległych i wpadł w wąwóz. Bateria hiszpańska, ustawiona na pierwszym jego skreście, sypnęła gradem kul. Szczęściu żołnierzy zważyło się z koni.

— Na armaty, chłopcy! — zawołał Koziętulski, lecz koń jego zachwiał się, bluznął krwią i padł.

*) Niech żyje cesarz.

**) Najjaśniejszy panie.

Szef szwadronu stoczył się pod ścianę wąwozu.

— Na armaty, dziecil Niech żyje cesarz! — huknął teraz Dziewanowski.

Szwolężerowie wpadli na kanonierów hiszpańskich, zanim ci po raz ostatni zdolali podłożyć lonty.

Walka była krótka. Ciała Hiszpanów legły na lawetach. Szwadron popędził dalej.

Gardziel wąwozu za pierwszą baterią zwężała się, tworząc zaciemniony korytarz, a w końcu załamwała się i znów się wydłużała, aby po raz trzeci i czwarty zmienić kierunek.

Każdego z czterech załamów bronila oddzielna bateria, zagradała drogę, tworzyła węzeł, stanowiła niezdobytą redutę, była dość silną, by atakowi stawić czoło, by go zetrzeć na miazgę.

Wiedział o tem Don Benito San Juan i spokojnie zerknął za górami, rychło fala żołnierzy francuskich odpłynie upokorzona.

Gdy szwadron Koziętulskiego porwał się do szarży, Don Benito San Juan uśmiechnął się pogardliwie... Lecz gdy ponad pierwszą przepłynął baterią, gdy do uszu Don Benita doszedł okrzyk gromki, potężny, brzmiący szaleństwem, wódz hiszpański zbłądł...

Szwadron pędził naprzód.

Przed drugą baterią padł porucznik Krzyżanowski. W ataku na kanonierów odłam skały zwałił z konia Piotra Krasinńskiego. Dziesięciu żołnierzy opuściło drugą redutę.

Dziewanowski prowadził dalej.

Na trzecim załamie ogień nieprzyjacielski wzmógł się. Piechota hiszpańska strumieniem żelaza zasypywała wąwóz, baterie raziły zajadłe. Zmiot był straszny. Snop dymu otulił szwoleżerów. Gdy się rozniósł, kanonierzy leżeli stratowani. Dziewanowski stoczył się, pluząc krwią.

— Naprzód! — wołał teraz adjutant Rudowski.

— Naprzód! — huczał podjeżdżający z tyłu Niegolewski.

Na górach tymczasem stało się to, czego ani dzielny Don Benito, ani Bonaparte przewidzieć nie mogli. Szczyty Somo-Sierry zakolysały się, szeregi Hiszpanów zachwiała, wydając okrzyk przerażenia... U ich stóp, na krańcach wąwozu, ukazały się białe płaszcze szwoleżerów... Armaty

(Dokończenie na str. 4)



Kiedy rzeki zaszemrały,
ziela wiosną zapachniały
polskie ptaki zakwiliły,
tłustą Pyzę obudziły.



O dlaboga, dobrzy ludzie,
toć już pora się obudzić!
Pora na świat iść drogami,
Pod wierzbami, kocankami.



Tam na północ, za polami
sięga Toruń gwiazd wieżami.
Godne gmachy — z cegieł starych,
czas im mierzą z wież zegary.

Jak Pyza



Była druga godzina,
gdy tam przyszła Pyzina.
Jakże też się dziwiła,
gdy to miasto zoczyła!

SIER

A cóż to nad polem
śnieżnym jaśnieje?
Czy luna pożaru?
Czy w nocny dnieje?

Biegaj, sierotenko, zobaczyć, co to!
Sierotka pobiegła
boso na błonie,
ujrzała Panienkę
z Dzieciątkiem w koronie,
co świeciła w miesiącu jak złoto!
Nie mieli ni domu,
ni chałupiny,
jeno ponad głową
gałąż tarniny,

SOMO

(Dokończcie)

zagwożdżone umilkły. . . Okrzyk: „Niech żyje cesarz!“ huczał, a piął się po skałach, a jęczał . . .

Hiszpanie zdumieli się, broń wypadła im z rąk i jak fala splywać zaczęli ze stoków Somo-Sierry i szukać schronienia kędy wila się ścieżka ku Madrytowi, Saragossie . . .

Ucieczka była straszna, gdyż z gardzieli Somo-Sierra wysypały się już świeże szwadrony szwoleżerów, goniąc uciekających. Wrócili niebawem, prowadząc niewolnika,

wędrowała



Hej, toruńska kumosiu,
pięknie Pyza cię prosi —
powiedz że mnie w ulice,
niech się miastem zachwyce!

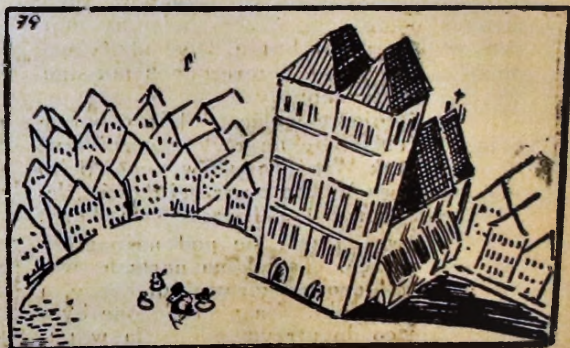
OTKA

jeno poduszeczkę ze śniegu cała.
Uklęka sierotka,
prosi Panienkę:
„Weź, jasna Królowo,
dla dziecka sukienkę,
bo całkiem na mrozie skostniało!”
Mateńka Jezusa
ciepło otuli . . .
. . . Sierotka została
w jednej koszuli.
„Zostańże, sierotko, u Jezusa na
służbie!”

Kazimiera Hakowiczówna



Jak ci dzwony zagrały,
gdy zegary zabrzmiały,
z kumoszkami miejskimi
rusza Pyza z pod sieni.



Spójrz gosposiu, spójrz gruba,
w tum świętego Jakuba,
na te mury ceglane
już przez Piastów stawiane!



A tu pachną goździki,
bo tu pieką pierniki,
pieką je od setek lat,
sławne są na cały świat!

Przygody z u

BIAŁE UROKI

życie pełne trudów i niedostatku, ale nie pozbawione chwil radosnego upojenia zwycięstwem odniesionym nad sobą i „dziką” przyrodą, życie zupełnej swobody, pełne tajemniczości, zuchowych przygód, gdzie można wykazać śmiałość, hart, wolę i zaradność — ciągnęło i ciągnie zuchów białskich, tak jak i każdego zucha.

Teraz — manila ich „tajga” — lasek położony za Krzną.

Z parku zarwasy jej były wyraźne. Stąd rozpoczynały się wzgórza śniegowe o długich grzbietach, rozłożone w regularnych odstępach, niczem balwany morskie wzdęte przez burze. Dochodziły one do świerków „tajgi”, sterczących jak sinawe, tajemnicze kopuły...

Niby żołnierze waleczni, kórzy porzucają swą ucztę, by na rozkaz pośpieszyć do bitwy, tak Wit i Tomek w samej pełni zimowego sezonu, bo na trzeci dzień „Narodzenia”, opuścili cichaczem swe domy.

Wyprawa zaczęła się pod najpomyślniejszą wróżbą. Tomek na nartach wypróbował drogę i torował przejście, a Wit ciągnął sanki. Na nich złożone było wszystko, co do utrzymania życia w pustyni śnieżnej potrzebne: koc, termos, trochę żywności, kilka smolnych szczenek, noż i szufelka do śniegu. Przez plecy każdy miał luk o grotach rogowych.

...Nigdzie tropu żadnego, żadnej rośliny. Wszędzie śniegi i śniegi... Przygoda przez ich w przód — w urok „nie znanego”.

Na samym wstępie zdobyli przeszkodę trudną do przezwyciężenia — zamarzną rzekę. Łód był śliski i trudno było utrzymać się na nogach. Przechodzali się więc na czworakach. Przekonali się więc, że wyprawa przedstawia mnóstwo trudności i jest bardzo uciążliwa i niebezpieczna.

Już daleko pozostawili za sobą ostatni fort jak nazwali zaniesione śniegiem łazienki szkolne. Sunęli po „tajdze”.

W miarę posuwania się wydmy stawały się coraz wyższe, coraz bardziej twarde. Jakaż to praca wyczerpująca, takie ciągle ich przechywanie! To morze śniegu wydawało się im nieskończenie długie, ale i szczególnie wspaniałe. Teraz dopiero poczuli się mali wobec tego majestatycznego „bezmiaru”.

Dalej — Tomek zboczył na północ w kierunku spodziewanych „innych stanowisk”. (Były tam zabudowania leśnika.) Po wywiadzie mieli spotkać się na skraju.

Wiatr, pehając w plecy, pomagał teraz samotnemu Witowi. Przyszedł niby pomocnik.

Wreszcze — tajga! Na każdym drzewie spoczywa gruba pokrywa śniegowa, zdobna w lodowce, zwisające się z każdej gałęzi. Podobne są one do zamarzłych wodosпадów... Każda igielka skrzy się niezwykle. Blask miliardów kryształków lodowych tańczy jak rój świetlików... Sinawa i mroczna głąb ciągnie... i odpycha... Wszystko to nadaje „tajdze” wygląd tajemniczy.

Nagle zaczęło ciemnieć. Ołowiane chmury, wysuwając się szybko z widnokręgu, zasłaniały niebo. Wiatr zakurzył śniegiem i uderzył w puszcę. Coś i gdzieś — zawyło...

—Gdzie Tomek? Dla czego nie wraca? Może mu co grozi?... I w oczach Wita zaświeciło postanowienie — iść, szukać Tomka.

Teraz pod stopy wiatr zaczął rzucać mu kurzawę śnieżną i jakby rozmysłnie zasłaniał pole widzenia. Postanowił przeto daleko od sanek nie odchodzić. Okrażył pewną przestrzeń — lecz Tomka nie dojrzał.

Ale w pewnych miejscach znalazł najwyraźniej odbite ślady obuwia. Były niewątpliwie Tomka. On przecież wziął ze sobą zupełnie nowe buty z gwoździami.

Wit kilka razy powtórzył swoje badanie. Za każdym razem przekonywał się, iż jest ich coraz więcej. Ślady niemiłosiernie i wyraźnie krażyły obok jego miejsca postoju.

— Co by się stało z Tomkiem? — Wiatr się wzmagał i lada chwila mógł się zmienić w straszną wichurę.

Począł krzyczeć... Fala wiatru i śniegu uderzyła mu w twarz zasypując usta. Co raz dolatują go jakieś szmery i odgłosy. A Tomek się nie odzywa.

W głowie Wita powstaje zamęt. Na myśl przychodzą tajemnicze okropności z przeróżnych czytanek. Jednocześnie czuje się inż znużony...

Siada na sanki podciągawszy nogi

chowe

pod brodę. Łuk kładzie przed siebie. Opiera się łokciami o kolana, głowę wtula w kołnierz i znajduje, że to jest najdogodniejsza pozycja.

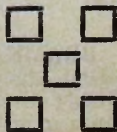
Senność zaczyna go morzyć. Ale śnieg

Marynarze

Nas nic nie straszy!
Na łodzi naszej
Przepłyniem wodne otchłanie,
Hej! dalej, dalej,
Po modrej fali!
Czuj wciąż! a nie się nie staniel!
Płyńmy już zawsze! . . .
Co jest ciekawsze
Od przygód, gdy znikną brzegi...
Morze — tak mami—
Hej! Wszyscy z nami!
Do marynarzy — w szeregi!

Rzeka

Zuchy w szóstkach rysują o bokach jednego metra kwadraty, w układzie jak na rysunku.



Są to pola pięciu zuchów — gospodarzy. Szósty zuch jest rzeką. Stoi on w środkowym kwadracie. Tam zawiązuje mu się oczy, dając do ręki kij. Po czym się mówi:

**Płyn nam daleko
Srebrzysta rzeko!**

Rzeka więc musi „opłynąć” wszystkie pola, kreśląc za sobą ślad kijem. Jeśli je opłynęła wszystkie bez skrzyżowania się śladu — wygrywa.

Następnie rzeką jest drugi zuch i tak po kolei. Jest to zabawa na wyrobienie orientacji.

zawiei dostając się do twarzy nie daje mu zasnąć. Zdaje sobie też sprawę, czym to może się skończyć.

Zrywa się i znów bada ślady. Odnajduje nowe, świeże...

W tym coś sunie na niego. Gdzie łuk? Pozostał na sankach?.. Szara bryła tuż-tuż...

— Hoooop — Wit-eek!

To Tomek! Ale co ma?

— Upolowałem... — tryumfująco oznajmia przyjacielowi i pokazuje małego... pieska...

— A ja myślałem, że ciebie wilki zjadły —, nie mogąc się powstrzymać, wybuchają płaczem.

...Zamieć śnieżna przemienia dzień w noc. Nawet najbliższe przedmioty są w tajemniczym półcieniu. Na odległość kilku kroków nie podobna rozpoznać żadnego przedmiotu...

Ruszają...

Wicher podnosi coraz gęstsze obłoki białego pyłu. W takiej zamieci nie podobna rozpoznać drogi.

Byle — do fortu...

Idą prawie omackiem, przedzierając się przez wiry śniegu. Grunt coraz ciężliwszy. Wydaje się im, że nie ruszają się z miejsca...

Śnieg się wznosi coraz wyżej...

Trud wyczerpuje i najgorliwszych... Rozpacz ogarnia i najodważniejszych...

Tak chętni do ryzykownych wypraw wykazali już tyle odwagi...

Nagle — ukazują się światła... Tuż... blisko...

Czyżby naprawdę wilki?

Nie — to dom. Dom leśnika.

On odstawił traperów białskich po skończonej burzy do rodziców.

Wyratowany pies otrzymał też nazwę „Traper”...

Wit, czekając na Tomka, który spóźnił się niosąc „Trapera”, deptał własne ślady. Dzięki temu też nie zmarł. Dla tego „wyprawa” do „tajgi” skończyła się szczęśliwie, a Wit i Tomek wyprawą tą zdobyli aureolę bohaterów.

Najmniej zła rzecz zrobić dobrze jest
trudno.

(A. Dygasiński)

Kuj żelazo, póki gorące!



Jak to ongiś jeżdżono na nartach: stary obrazek znaleziony w Polsce

▣ Trochę humoru ▣

TRZY

— Co ty masz w tej torebce, Ciociu?
 — Cukierki, a jeżeli zgadniesz, ile ich jest, dostaniesz wszystkie trzy!

NOS

— Uszy służy do słuchania, oczy do patrzenia, język do smaku, palce do dotyku. A nos do czego służy?

— Nos służy do wycierania.

ZABAWA

— Zosiu, będziemy się bawili w Adama i Ewę.

— W jaki sposób?

— Ty mi dasz jabłko, a ja je zjem.

BRAMKA

— Chłopcy, idźcie sobie gdzie indziej grać w piłkę. Macie tam piękną łąkę.

— Ale to i pan z nami pójdzie, bo my pana potrzebujemy.

— Do czego?

— Bo pan jest naszą bramką.

U SZEWCZA

Mówisz więc pan, że te buciska dadzą się jeszcze naprawić?

— Naturalnie. Jeżeli się da podeszwy, nowe cholewki i nowe obcasy, to będzie można je nosić, bo sznurowadła są jeszcze zupełnie dobre.